



ROZDZIAŁ 1

Vita zacisnęła zęby i skinęła głową miastu na powitanie, tak jak bokser wita przeciwnika w ringu. Stała samotnie na pokładzie statku. Wzburzone fale bryzgały słoną pianą na wysokość dziesięciu metrów, toteż wszyscy pasażerowie liniowca, w tym jej matka, rozsądnie schronili się w kabinach.

Ale nie zawsze rozsądnie jest być rozsądną.

Vita wymknęła się z kajuty. Teraz stała pod gołym niebem, zaciskając dłonie na relingu, podczas

gdy statek wspinał się na fale wysokie jak gmach opery. I tak, jako pierwsza z pasażerów, ujrzała miasto.

– Tam jest! – zawołał jeden z marynarzy. – Na lewej burcie!

Nowy Jork wyłonił się z mgły, wysoki, szarobłękitny i piękny, tak piękny, że jego widok przyciągnął Vitę na dziób statku, by mogła lepiej się przyjrzeć. Przechylała się przez reling tak daleko, jak tylko starczyło jej odwagi, gdy nagle coś pomknęło wprost ku jej głowie.

Zachłysłnęła się i cofnęła szybko. W górze mewa gonila młodą wronę, dziobiąc ją po grzbiecie, skręcając i wrzeszcząc w powietrzu. Vita zmarszczyła brwi. Uznała, że to niezbyt uczciwa walka. Pogrzebała w kieszeni. Jej palce zacisnęły się na szmaragdowozielonej szklanej kulce. Wyjęła ją, wycelowala, przez krótką chwilę gniewnie obliczając w myślach odległość i kąt, potem uniosła rękę i rzuciła. Kulka trafiła mewę w tył głowy. Ptak wrzasnął z oburzeniem godnym rozgniewanej księżnej, a wrona zawróciła i pomknęła z powrotem ku wieżowcom Nowego Jorku.

Z portu pojechały taksówką. Matka Vity starannie odliczyła garść monet i podała kierowcy adres.

– Proszę podjechać tak blisko, na ile wystarczy – rzekła, a on omiół wzrokiem jej starannie połataną spódnicę i pokiwał głową.

Manhattan przesuwiał się szybko za oknem, jasne eksplozje kolorów pośród zlanych deszczem cegieł i kamieni. Minęli kino o ścianach ozdobionych fotosami Greta Garbo i mężczyzną sprzedającego z wózka gorące szczytce homara. Na skrzyżowaniu obok przemknął tramwaj, o włos unikając zderzenia z furgonetką reklamującą Wytwórnę Kolonialnych Pikli. Vita całą sobą chłoneła miasto, próbowała zapamiętać rozkład ulic, narysować w pamięci mapę. Szeptem powtarzała nazwy: Washington Street, Greenwich Avenue.

Kiedy pieniądze się skończyły, ruszyły pieszo. Maszerowały tak szybko, jak tylko Vita była w stanie, smagane wiatrem, z walizkami w dłoniach. Szły Siódmą Aleją, wymijając mężczyzn w prążkowanych garniturach i kobiety w butach na obcasach.

– Tam! – rzuciła matka Vity. – To mieszkanie dziadka.

Kamienica u zbiegu Siódmej i Pięćdziesiątej Siódmej Zachodniej wyrastała z ruchliwego chodnika, wysoka i dostojna, w płaszczu z rdzawego kamienia. Przed drzwiami stał gazeciarz, wiatr porwał z jego słów wykrzykiwane nagłówki.

Naprzeciwko kamienicy wznosił się budynek z jasnoczerwonej cegły, o wygiętej w łuk zdobnej fasadzie. Ze ściany sterczały maszty, na których szaleńczo łopotały dwie flagi. Nad nimi ułożony z kolorowego szkła widniał napis „Carnegie Hall”.

– Wydaje się bardzo... małe – mruknęła Vita i odniosła wrażenie, jakby kamienica z dezaprobatą zacisnęła usta na te słowa. – To na pewno to miejsce?

– Na pewno – odparła matka. – Mieszka na najwyższym piętrze, tuż pod dachem. Kiedyś była tam służbówka. Będzie ciasno, ale nie zostaniemy długo. – Miały zarezerwowane bilety powrotne na za trzy tygodnie. To dość czasu, uznała matka Vity, by uporządkować papiery dziadka, spakować jego skromny

dobytek i przekonać go, by wrócił z nimi do domu.
– Chodź! – Głos matki zabrzmiał nienaturalnie wesoło. – Znajdźmy go.

Winda okazała się zepsuta. Vita chwiejnie pokonała stopnie wiodące do mieszkania dziadka, tak szybko, jak na to pozwalały jej nogi. Walizka uderzała o ścianę, gdy dreptała po wąskich schodach, nie zważając na nasilający się ból w lewej stopie. W końcu zatrzymała się zdyszana pod drzwiami. Zapukała, nikt nie odpowiedział.

Matka Vity, dysząc ciężko, pokonała ostatnie półpiętro i schyliła się po klucz schowany pod wycieraczką. Na moment zawahała się, patrząc z góry na córkę.

– Na pewno nie będzie w aż tak złym stanie, jak się obawiamy – rzekła. – Ale...

– Mamo! On czeka!

Gdy matka otworzyła drzwi, Vita runęła przez przedpokój i zamarła w progu.

Dziadek zawsze był chudy. Przystojny i szczupły, o długich, eleganckich dłoniach i bystrych, błękitno-zielonych oczach. Teraz jednak wyglądał jak szkielet,

oczy zapadły mu się w głąb czaszki. Palce zaciskał w pięści, jakby każda część jego ciała cofała się przed światem. Pod ścianą obok krzesła stała oparta laska; wcześniej jej nie potrzebował.

Nie zauważył Vity i przez moment jego twarz wydawała się jak wyrzeźbiona z czystej rozpacz.

– Dziadku! – rzuciła dziewczynka.

Wówczas odwrócił się, jego oblicze pojaśniało, a ona poczuła, że znów może oddychać.

– Szelma! – Wstał i Vita rzuciła mu się w ramiona, a on wybuchnął śmiechem, zdyszany od nagłego zderzenia. – Julio! – dodał, gdy do środka weszła matka Vity. – Dostałem twój telegram zaledwie trzy dni temu. Inaczej bym ci wyjaśnił.

Matka Vity pokręciła głową.

– Tylko spróbuj nas powstrzymać, tato.

Dziadek odwrócił się do Vity.

– Uśmiechnij się do mnie jeszcze raz, Szelmo.

Uśmiechnęła się, na początku naturalnie, a potem, gdy nie odwrócił wzroku, szerzej, aż w końcu miała wrażenie, że odsłania w uśmiechu wszystkie zęby.

– Dziękuję, Szelmo – rzekł. – Nadal masz uśmiech swojej babci.

Żołądek Vity ścisnął się nagle, gdy ujrzała łyż lśniące w jego oczach.

– Dziadku?

Zakasłał, uśmiechnął się i odchrząknął.

– Boże, jak dobrze cię widzieć, ale nie było takiej potrzeby.

Julia popchnęła Vitę w stronę drzwi.

– Idź, poszukaj swojego pokoju, skarbie – poleciała.

– Ale...

– Proszę – ucięła matka. Twarz miała bladą i wyczerpaną. – Już.

– Jest na końcu korytarza – dodał dziadek. – Obawiam się, że to bardziej szafa niż pokój, ale ma świetny widok.

Vita powoli ruszyła korytarzem, trzymając w dłoni walizkę. Słyszała deski skrzypiące pod jej stopami, dostrzegła łuszczącą się na ścianach farbę. Pchnęła drzwi, ale te się zacięły. Przytrzymując się ściany, kopnęła silniejszą stopą mocniej. Drzwi otworzyły

się z impetem, z góry posypały się na nią drobinki tynku.

Pokój był tak mały, że mogłaby dotknąć wszystkich czterech ścian jednocześnie. Stała w nim jednak drewniana szafa, a okno wychodziło na ulicę. Vita usiadła na łóżku, zsuła lewy but i ujęła stopę w obie dłonie. Wbiła palce w podeszwę, rozprostowując i zginając je, i próbowała zebrać myśli.

Dotarły na miejsce. Powinna się cieszyć – przepłynęły przez ocean, pokonując pół świata, a Nowy Jork czekał za oknem, sięgając ku niebu niczym kaligraficzny podpis wyjątkowo ekstrawaganckiego bogacza. Ale nic nie miało znaczenia, bo dziadek nie był w tak złym stanie, jak się obawiała. Był w jeszcze gorszym.

W kieszeniach miała mnóstwo żwiru z ogrodu w domu. Wybrała największe kamyczki i zaczęła cisnąć nimi w drzwi szafy. To pomagało jej się skupić.

Gdyby ktoś ją obserwował, zauważyłby, że za każdym razem trafiała idealnie w środek uchwytu szafy – ale nikt na nią nie patrzył, a Vita nie zwracała na to uwagi. W ogóle nie myślała o kamyczkach.

Uznała, że musi coś zrobić, żeby wszystko naprawić. Na razie jeszcze nie wiedziała co ani jak, ale miłość czasem sprawia, że nie ma się wyboru.